

Z pamiętników wspólnika zbrodni.

Powieść z angielskiego opracował W. K.

(Dokończenie).

— No, przecież czekałem się ciebie — zawołał na przywitanie. — Cóż tak długo bankie-
rował z tym Australczykiem?

— Długo, bo długo, ale mam, mam!

— Co takiego?

— Obraz.

— Jaki obraz?

— Portret infantki. Australczyk pokazał mi
co uradowany, że taki skarb posiada. Przekonaw-
czy się, że ci się nie udało go zabrać, ja go za-
brałem.

— Pokaż! — zawołał Raffles ze złością.

Rozpiąłem surdut i wyjąłem, nie mogąc pojąć,
dlaczego Raffles taki zagniewany. Nasunęło mi się
na myśl, że go zazdrość uniosła.

— Przypatrz się, oto nasz zarobek po, dwa ty-
siące funtów na każdego — rzekł poważnie z od-
mieniem dumy.

— Oj chłopcze, chłopcze! Te pieniądze już ja
zarobiłem. Oto twoje dwa tysiące.

To rzekłszy, wyjął banknoty z pularesu i po-
łożył mi je na stole. Oślepiałem.

— Skąd to? za co? — pytałem zdumiony.

— Za wyjęcie obrazu Velasqueza ze skrytki
Australczyka.

— A cóż to jest, co ja wyjąłem?

— To owa kopia, którą podłożyłem w miejsce
oryginału, a którą u malarza kupiłem.

— A więc...

— A więc głupstwo popełniłeś chłopcze. Po-
wierwsze dlatego, że niepotrzebnie pozbawiłeś tego
głupca przyjemności posiadania obrazu, chociaż
tylko kopii; powtóre że naraziłeś nas obu na wiel-
kie niebezpieczeństwo. Niechby Eraggsa zebrała
chcota zajrzeć raz jeszcze do futerału przed od-
jazdem do Australii, lub gdyby zażądano pokaza-
nia obrazu na statku, aby sprawdzić wartość, bo
niezawodnie będzie go chciał asekurować; to, co by
wtedy się stało? Oczywiście narobiłby wrzawy,
wezwał policji i na nas podejrzenieby padło. Ca-
ła pociecha w tem, że sir Bernard Debenham wy-
śle jutro do Melbourne telegraficzny przekaz na
pięć tysięcy funtów pod adresem Eraggsa, aby
zaraz po wylądowaniu otrzymał zwrot pieniędzy
za portret infantki zapłaconych.

— Czemużbo nigdy nie powiesz mi dokładnie,
co czynić zamierzasz? — odezwał się z gory-
czą.

No, no chłopcze, nie gniewaj się, wybac. My-
ślałem, że masz większe zaufanie w moje powo-
żenie. Ale nie ma złego, co by na dobre nie wy-
szło. Przekonałem się, że masz energię i zdolny
jesteś do czynu.

— Niech piorun trzaśnie te czyny. Dość mam
tego; muszę już zacząć spokojne, uczciwe życie —
zawołałem zły na siebie i na Rafflesa.

— I ja również, o ile stosunki na to pozwolą
— odpowiedział Raffles z uśmiechem — a teraz
powiedz mi, w jaki to sposób zyskałeś swą zdo-
bycz.

VI.

Gość niepożądany.

Za trzy dni mieliśmy odpłynąć do Ameryki
umówiliśmy się z Rafflesem, że zjedziemy się w
Liverpoolu, a przez ten czas każdy z nas miał
zabierać to i owo i przygotować się do podró-
ży. Szedłem wieczorem przez Piccadilly, zdążając
do domu, aby się wyspać i nazajutrz o szóstej
wyjechać pociągiem do Liverpoolu,
gdy uczułem silną rękę na ramieniu. Stałem jak
ryty, mając nabita głowę widmem niebezpieczeń-
stwa, które wisiało nad nami. Byłem pewien, że
nie zatrzymał jakiś agent policyjny, zwłaszcza że
głowa była bardzo gęsta i ledwie można było po-
stać twarzą ludzką o pół kroku.

— Cóż tak zdrewniał chłopcze? — szepnął mi
Raffles do ucha.

— A, to ty? Bodajci to takie figle.

— Szczęście, że cię spotkałem. Szukałem cię
w klubie, w mieszkaniu; przepadłeś, zniknąłeś, ni-
gdy nie mogłem.

— Co? Przecież ułożyliśmy, że ju-
trowo odpłyniemy do Liverpoolu.

— Przecież, Pan Bóg wie, że

Mrowie mnie przeszło. Wiedziałem dobrze, iż
nie lada sprawa być musi, skoro Raffles nazywa
ją ważną. I tok myśli przywalił mnie. Cieszyłem
się, że od jutra wejść na nową drogę życia, że
zaczne żywot uczciwy, spokojny; że porzucę Lon-
dyn, gdzie wszystko mówiło do mnie wyrzutami
sumienia, aż tu nasuwa się jakaś zapora. Domy-
ślałem się czegoś strasznego. Niemal bezwładny
byłem i ocknąłem się z przygnębienia, gdy mnie
Raffles ujął dość silnie pod ramię i pociągnął ze
sobą.

Weszliśmy do jego mieszkania. Zaświecił gaz,
poruszył ogień w piecu, a ja stałem jeszcze nie-
ruchomy. Uśmiechnął się, ściągnął ze mnie paltot
i rzekł swobodnie:

— A to baba z ciebie. Cemu się przerażasz
lada czego? Napij się whisky i zapal sobie papie-
rosa.

Podsunał mi jedno i drugie, poczem prędko
pobiegł do przedpokoju i zamknął drzwi wchodo-
we. To także było czemś niezwykłym u Rafflesa,
bo nie zamykał się nigdy, będąc w domu, więc
jeszcze bardziej się niepokoiłem.

— A siadajże ty staro babo — rzekł Raffles
z uśmiechem, ale poczułem, że to uśmiech wymu-
szony. — Siadaj i słuchaj.

— Przedewszystkiem powiedz mi, czy jutro
wyjeżdżamy? — zapytałem lekliwie.

— Hm! to zależy od tego, jak się sprawa u-
łoży...

— Zaklinam cię, mów prędko, od razu, bo mnie
dyabli biorą.

— Babska niecierpliwość. Wstydyż się!

— Stroisz żarty, a sądzę, że nie pora teraz po
temu.

— Owszem, owszem mój drogi. Pamiętaj, że
w każdej stanowczej, czy tylko poważnej chwili
życia, najlepszym sprzymierzeńcem człowieka jest
pogoda, jasność, swoboda umysłu. Wszelka panika,
a bodaj chwilowy lęk, zamęt, odbierają przytom-
ność umysłu, kępiają myśli i czyny i zwykle spy-
chają do zguby. Ale dość wstępu, a teraz do rze-
czy. Czy pamiętasz dobrze nasze zabawy w Mil-
chester?

— Dziwne pytanie — odpowiedziałem roznie-
wany.

— Oho! Teraz gniew dla odmiany. Nie szko-
dzi, to już lepsze, niż lęk i osłupienie. Otóż przy-
pomnij sobie ową czerwoną małpę, spotkaną w go-
spodzie. Mówiłem ci, że to najsprytniejszy złodziej
londyński. Zjawił się tam, aby się obłowić naszym
lady Melroses, a ja mu go z pod nosa
sprzątnąłem. Myśmy wyjechali swobodnie, a jego
pochwycono i zamknięto.

— No i cóż z tego?

— A, bardzo wiele! Może nie czytałeś dzien-
ników? Przeczytaj-no *Pall Mall*. Otóż ta czerwo-
na małpa, ten mistrz opryszków, znany pod na-
zwiskiem Crawsbay, uciekł z więzienia. Spostrze-
żono ucieczkę, puszczono się w pogon, puszczono
za nim kilkadziesiąt strażników, ale to wszystko da-
remnie. Uciekł i schwycić go nie zdołano. Dzien-
niki donoszą, że tego samego dnia, o dwie mile
za Londynem okradziono plebana na wsi, że mu
zabrano ubranie, a na drodze, w rowie, znaleziono
odzież więzienną skazańców. Crawsbay okradł
plebana, przebrał się w jego suknie, a swoje wię-
ziennie porzucił po drodze. Ba! taki gracz wiedział
z góry, że w ubraniu duchownego na długo się
nie ukryje, to też donoszą dzienniki, że w nocy
znaleziono na drodze żelaznej zwłoki duchownego,
zmiażdżone kołami pociągu. Crawsbay widocznie
zabił kogoś i obrabował, zwłoki ubrał w suknie
na plebanię skradzione i rzucił je pod pociąg,
a sam ubrał się w odzienie zamordowanego. Ze
sprytna kanalia, to nie ulega wątpliwości, ale też
zuchwałstwo jego przebiera miarę. Zamiast zni-
knąć z Londynu, on chodzi sobie swobodnie po
mieście.

— Widziałeś go?

— Gorzej, bo spodziewam się jego odwiedzin.
Śledził mnie, gonił za mną. Powiedziałem portye-
rowi, że mnie dla nikogo niema w domu, bo mam
pilne zajęcia. Portyer go nie puści, ale bądź co
bądź pierwiej lub później docisnąć się w końcu do
mnie.

— A czegoż on chce od ciebie?

— Ba! łatwo się domyślić. Taki sprytny wisus
miał widocznie dobre oczy w Milchester; widział
mnie w gospodzie, podpatrzył pewnie na krykie-
cie, no, a pusta szkatuła, bez naszyjnika, dopowie-
działa mu reszty.

— A skądże na ciebie miałby podejrzenie? —
zapytałem.

— Wspomniałem ci przecież,

bez maski i bez kostyumu. Używałem wprawdzie
gwary ludowej, ale on poznał się na tem. Rozsta-
liśmy się po przyjacielsku. Teraz, gdy go zamknię-
to pod zarzutem kradzieży naszyjnika, byłby pe-
wnie wyspiewał wszystko przed sądem, gdyby był
nie uciekł. A że uciekł, to oczywiście po to, aby
z moją pomocą wydostać się z Anglii, no i dlate-
go śledził mnie, aż wyszedł. Załatwić się z nim
muszę, wyprawić go czempredzej, a dopiero potem
będziemy mogli spokojnie wyjechać.

— A czyż nie możnaby teraz, zaraz wyjechać,
nie czekając jutra?

— I o tem myślałem, ale zdaje mi się, że ta
czerwona małpa wciąż się kręci koło klubu i nie
spuszcza mnie z oka. Byłoby najgorzej, gdyby nas
zaczepił na ulicy, lub może nawet na dworcu ko-
lejowym.

— Mądrześ pan powiedział, panie Raffles —
odezwał się nagle obcy głos we drzwiach, wiodą-
cych do sypialni.

Raffles spojrzął i, nie zmieszany wcale, zapy-
tał swobodnie:

— A skądże się pan tu wzięłeś, panie Craws-
bay?

— Czerwone małpy chodzą rozmaitemi droga-
mi — rzekł opryszek.

— To pan słyszałeś i nasze żarty?

— Mimowoli.

— A to proszę bliżej. Może pan pozwoli whi-
sky i doskonałego Suliwana.

— Ej, chyba nie. Najpierw interes.

— Czemże panu mogę służyć?

— Pogadamy sobie otwarcie. Ten pan był
z panem w Milchester; pewnie wspólnik? co? he?
Nie szkodzi. Dobry wspólnik, to majątek. Przy
wspólniku możemy sobie pomówić bez ceregieli.
No, panie Raffles, a ileż to pan wziął za naszyj-
nik owej głuchej markizy? co? Pan wziął pienia-
dz, a ja poszedłem do ula. Oho! z pana mądry
człowiek! Ale ja nie psotnik, o, nie; ja panie Raf-
fles jestem honorowym operatorem i kolegów nie
zdradzam. Ale pan musisz wyprawić mnie w świat;
na to trzeba mi nie wiele, ot pięćset funtów. Dla-
tego uciekłem z ula, aby pana wyszukać, wziąć
pięćset funtów za ów naszyjnik, no i dalej poza
wodę, bo tu już niema co robić.

— Ha, to wszystko możnaby jakoś zrobić, ale
czy tu pana kto nie ściagał? czy się pan stąd do-
stanie na powietrze? Którędyś pan wszedł?

— Dostrzegłem z ulicy otwarte okno, no i po-
rynnie dostałem się tu szczęśliwie.

— Przez okno mojej sypialni?

— Widocznie. Jak to dobrze, że pan ma ten
dobry zwyczaj otwierania okien w sypialni w cią-
gu dnia całego. O, to zdrowo, to bardzo hygieni-
cznie.

— Ba! trzeba natychmiast zamknąć, żeby kto
z dołu nie dojrzał.

— O, już zamknąłem w tej chwili, skoro się
tylko w pokoju znalazłem.

— A więc byli na tropie? ścigali pana?

— A no tak. Żeby nie to, nie potrzebowałbym
się spinać po rynnie.

— Jakże pan wiedziałeś, że to okno mego
mieszkania?

— Oho! przed dwoma dniami dowiedziałem się
dokładnie, które pańskie drzwi, które okna. Ale
teraz musisz pan radzić, abym się stąd dostał na
świat i to z pieniędzmi w kieszeni.

— Proszę się, odpocząć, a my pójdziemy roz-
patrzeć się w sytuacji.

— Nic z tego dobrodziej. Znam się na tem.
Mniebyście tu zostawili, a sami urządzili drapakę
do pierwszego pociągu, albo może i policję po
mnie posłali. O, niema głupich!

— Mój kochany Crawsbay, jesteś pan zdolnym
operatorem, ale głupim człowiekiem. Zastanów się
tylko nad tem, co mówisz. Gdybyśmy to uczynili,
co sobie uroiliśmy, tobyś przecież nie trzymał języ-
ka za zębami, jeno powiedział światu, żeśmy się
poznali, no, a chyba nie myślisz, aby nam to spra-
wiło przyjemność. Jeżeli się odda pod moją opie-
kę, to mi ufaj i pamiętaj, że mam więcej rozumu
od ciebie.

— A, to rozumiem; to mowa po mojej myśli.
Dobrze, ja tu będę czekał. Prawda panie Raffles,
żeś okazał w Milchester więcej rozumu odemnie.
Byle nie długo czekać, bo mi się spać chce okro-
pnie, a jakbym zasnął twardo, tobyś się prędko
nie ocknął. Trzy doby już nie zmroziłem prawie
oka.

— Ale pan masz nie wygodne ubranie, może
Crawsbay. Jakoś nie dobrego pan masz krawca.